

Radek Jakubiak

STRACH ze strychu



Ilustrował Hubert Grajczak





ROZDZIAŁ PIERWSZY w którym poznajemy Stracha, a Strach poznaje eureka

Za siedmioma domami, za siedmioma ulicami, w starej kamienicy na strychu mieszkał Strach. Mieszkał tam, od kiedy tylko kamienicę zbudowano, albo nawet chwilę dłużej, od kiedy narysowano jej plan. Strach szybko wprowadził się na przyszły strych, żeby nikt nie zajął mu później miejsca. W końcu skoro niektórzy ludzie kupują dziurę w ziemi z myślą o przyszłym mieszkaniu, dlaczego on nie miałby wprowadzić się do dziury w powietrzu? Ale nawet wtedy starannie dbał o to, by nie przekraczać

granic przyszłych ścian ani dachu, i ostrożnie stąpił po nieistniejącej podłodze. A gdy ukończono budowę kamienicy, rozgościł się w niej na dobre.

Jak ten Strach wyglądał? Trudno powiedzieć, to zależało od tego, kto na niego patrzył. Czasami był całkiem eteryczny lub – jak powiedzieliby inni – przezroczysty. Czasami był tak czarny, że kto go ujrzał w środku nocy przy zgaszonych żarówkach, miał wrażenie, że widzi czern, która połyka otaczający ją zwykły brak światła. A czasami wręcz przeciwnie – odcinał się od otoczenia białą poświatą, więc sam jego wygląd potrafił napędzić niezłego stracha tym, którzy jego jasny kontur w ciemności dostrzegali.

Mówi się, że strach ma wielkie oczy. Owszem, czasami miał wielkie, ale czasami wręcz przeciwnie – tylko wąskie szparki przymkniętych powiek. Bywał tyci, bywał taki sobie akurat, ale bywał też wielki. Tak, to, jak wyglądał, zależało od tego, kto na niego patrzył, więc zdarzało się, że gdy dwie osoby wybrały się razem na strych, to jedna twierdziła, że widziała go – dużego i ciemnego, a druga, że był całkiem mały i świecący.

W kamienicy, w której mieszkał Strach, oprócz strychu były jeszcze cztery mieszkania. Na parterze mieszkało



małżeństwo w średnim wieku, państwo Stateczni.

Na pierwszym piętrze pani Aniela Rozmiarok, a po drugiej stronie czteroosobowa rodzina Cichych. Na drugim piętrze, tuż pod strychem, mieszkał tata – Wojciech Żywiołek, z dwójką dzieciaków – Malwiną i Antkiem.

Pan Wojtek pracował jako informatyk. Miał też swoją pasję – kolekcjonował powietrze. Gdziekolwiek pojechał, wyciągał mały słoik, łapał do niego otaczającą go atmosferę, a potem szczelnie zakręcał. Prosił też wszystkich znajomych, żeby i oni zbierali dla niego powietrze podczas swoich wояży. Pan Wojtek był bardzo dumny ze swoich zbiorów, a najcenniejsze obiekty stawiał na specjalnej półce w salonie. Był wśród nich wiatr spod Annapurny, dym z Wezuwiusza, delikatny zefirek



z wyspy Bali i pamiętająca pierwszych polskich królów woń Puszczy Białowieskiej.

Jego córka Malwina chodziła do trzeciej klasy podstawówki. Była bardzo ciekawa świata i postanowiła, że jak dorośnie, zostanie Wielką Odkrywczynią. A właściwie dlaczego miała czekać, aż będzie duża? Już teraz chciała

udowodnić, że krasnoludki naprawdę istnieją, więc w każdej wolnej chwili uparcie ich poszukiwała.

Syn pana Żywiołka Antek chodził jeszcze do przedszkola. Miał dopiero pięć lat, ale tak młody wiek zupełnie nie przeszkadzał mu w lekturze książek. Po prostu uwielbiał czytać. Antek kochał swoją siostrę i czasami lubił robić to samo co ona. Dlatego zapisał się do Klubu Poszukiwaczy Krasnoludków, którego – jak słusznie zgadujecie – Malwina była prezeską.

Wróćmy teraz do Stracha. Strach chwalił sobie swój strych i klimat tej kamienicy. Prowadził bogate życie towarzyskie – a to wiatr wpadał do niego przez okno na przelotne pogawędki, a to pogruchał z przesiadującymi na dachu gołębiami, a to pogłaskał kuny, które razem z nim zamieszkiwały poddasze.

Lubił też pomagać. Kiedy mieszkańcy rozwieszali pranie na strychu, dmuchał w nie ile sił, żeby szybciej wyschło. A gdy znosili tam różne niepotrzebne już im rupiecie, co jakiś czas zdmuchiwał z nich kurz – w końcu kto wie, może ktoś kiedyś sobie o nich przypomni i stwierdzi, że jeszcze się przydadzą – za parę lat takie porzucone graty mogą znowu stać się najmodniejszymi rzeczami. Oprócz tego Strach późnymi wieczorami na rurach, skrzypiącej podłodze,



drewnianych stropach, kanałach wentylacyjnych, okiennych szybach i na czym jeszcze tylko się dało wygrywał rozmaite melodie. To były jego kołysanki. Grał je tak pięknie, jak tylko potrafił, by utulić do snu wszystkich lokatorów.

Zgrzytu, zgrzytu, trach, brrrum, krrrum, szast, szust, ołłłłł, ołłłłł... puk, puk, trach... truch, troch, puk... zgrzytu, zgrzyt i znowu puk, i znowu szust, i znowu trach.

No cóż, jak sami słyszycie, nie były to najpiękniejsze melodie, ale nie bądźmy dla Stracha zbyt surowi. W końcu nie mógł słyszeć, jak Malwina, leżąc już w łóżku, zwierzała się tacie:

– Tato, nie mogę zasnąć. Przez sufit słyszać puki i stuki w rurach. Na strychu straszy!

– Śpij spokojnie, córeczko – uspokajał ją tata – strachy nie istnieją. To pewnie pan Stateczny wiesza pranie albo

pani Rozmiarek szuka na strychu najlepszego miejsca, w którym będzie mogła zostawić niepotrzebny już jej stary stołeczek.

– Tato, ale czy stołeczek robi szast, szust, oliiii?
Albo czy suszące się pranie samo szeleści?

– No dobrze, zdradzę ci tajemnicę – powiedział w końcu tata. – To krasnoludki wieczorami wychodzą ze swoich kryjówek i urządzają wyścigi mysich zaprzęgów. Jak zaraz uśniesz, pozwolę ci jutro razem z Antkiem wybrać się na strych na poszukiwania tych maluchów.

Malwina jeszcze przez chwilę nie mogła zasnąć. Wizja Wielkiej Wyprawy w Poszukiwaniu Krasnoludków, a do tego jeszcze zwieńczonej sukcesem, budziła w niej ogromną ekscytację. Zaczęła już nawet tworzyć Wiekopomną Przemowę, którą planowała uczcić pierwsze w historii ludzkości spotkanie ze skrzatami, i nawet nie spostrzegła, kiedy słowa „to tylko mały krok dla człowieka, ale wielki krok dla krasno-ludzkości...” urwały się i płynnie przeszły w senny obraz. Nagle stała się całkiem malutka i na rydwanie zaprzęgniętym w dwie myszy kręciła w pędzie ósemki wokół drewnianych filarów na strychu.

Malwina pogrzyżyła się w przygodowych snach, jej młodszy brat lulał już od dawna, a tata wiedząc, że jutro rano musi wcześniej wstać do pracy, też przytulił głowę do poduszki. W oknach pogasły światła i wszyscy

mieszkańcy kamienicy utonęli w objęciach Morfeusza (Morfeusz to taki mitologiczny bóg, który spełnia wszystkie marzenia pod warunkiem, że są senne. Coś jak Święty Mikołaj, tylko przychodzi co noc, a prezenty, które rozdaje, znikają nad ranem). No prawie wszyscy – bo Strach jeszcze nie spał. Skończył już grać swoje kołysanki i uwiedziony panującą dookoła ciszą, oddał się zadumie.

Niby mam wszystko – rozmyślał – przyjaciół, znajomych, miło spędzam czas, pomagam innym, ale czegoś mi brakuje. To znaczy, oczywiście, nie mam wszystkiego, nie mam na przykład krawata, ale krawaty na co dzień noszą tylko Strachy Biurowe, a ja jestem Strachem Strychowym i krawat jest mi do niczego niepotrzebny. Co to może być, co sprawia, że czuję niedosyt – rozważał dalej, spacerując z kąta w kąt, omijając przy tym pajęczyny, żeby nie uszkodzić tych cierpliwych wytworów pajęczego rzemiosła. – Potrzebuję czegoś, czego nie posiadam, a może coś się w moim życiu jeszcze nie wydarzyło, czego...

– Eureka! – nagle wykrzyknął na cały głos. Na szczęście skierował ten cały głos do środka, do siebie. Strachy potrafią krzyczeć odwrotnie, inaczej Strach obudziłby całą kamienicę i wszyscy lokatorzy zbiegliby się do niego, a to była ostatnia rzecz, której teraz potrzebował.